Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 8. Maja 1881 r. **Tom XII.**



TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 19.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

MICHAŁKO

OPOWIADANIE

BOLESŁAWA PRUSA.

(Dokończenie).

Chłop znalazł się teraz jak w szczerem polu. Minął swoją ulicę, wszedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując, gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupów wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone, albo kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? nawet mu nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych, żeby go o paszport nie zaczepili. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem, a popijał wódką.

Wydał już rubla nie używszy nic dobrego. Sypiał pod parkanami i tęsknił za towarzystwem ludzkiem, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że możeby lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów: gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami, trafił na kolej, ale — nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów wkoło niej, a szyn ani śladu.

Zmięszał się bardzo i zląkł, nie wiedząc, co się to stało. Aż mu dopiero jakaś dusza litościwa wytłómaczyła, że są jeszcze trzy inne koleje, ale — za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie, pytał się nazajutrz o drogę do mostu. Opowiedzieli mu dokładnie: gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skręcić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać. Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawalnicy stanął pod murem, skulony, ziębnięty w swojej przemokłej parciance i pocieszał się tem, że deszcz umyje mu choć bose nogi.

I gdy tak stał pobladły, a z długich włosów woda spływała mu za koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

— A co to — ubogi?... — zapytał pan.

— *Ni.*

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu wrócił z pytaniem:

— Ale jeść ci się chce?

— *Ni.*

— I nie zimno ci?

— *Ni.*

— Osioł jakiś! — mruknął pan. A potem dodał:

— Ale dziesiątkę byś wziął?

— Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł mrucząc.

Potem znowu zatrzymał się, patrzył na chłopa, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

— Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!...

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan możeby mu drogę do mostu pokazał. Ale — już było zapóźno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spostrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilkoma dniami pracował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgli, a tam — jego dom. W kilku oknach palą się światła, a przez otwartą bramę widać niewykończone oficyny.

Chłop wszedł na podwórze. Gdzie jak gdzie, ale tu sprawiedliwie należał mu się nocleg. Przecie on ten dom budował.

— Hej! he! a gdzie to? — krzyknął za nim, od schodów, człowiek odziany w tęgi kożuch.

Musiało już być chłodno na dworze. Michałko odwrócił się.

— To ja — rzekł. — Idę spać do piwnicy.

Człowiek w kożuchu oburzył się.

— A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprawiali?

— Ja tu przecie całe lato robiłem — odparł zafrasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

— Co się tu dzieje?... Kto to?... Może złodziej? — pytała.

— I nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy. Durnowaty!...

Michałkowi oczy zaświeciły. Roześmiał się i pobiegł do stróża.

— To wy z naszej wsi? — zawołał przejęty radością.

— Abo co? — spytał stróż.

— Abo tak na mnie wołacie, jak w naszej wsi... Ja przecie »durny Michałko!«

Stróżowa zachichotała, a mąż ramionami wzruszył.

— Żeś ty durny, to widać — rzekł. — Ale ja nie ze wsi, ino z miasta...

Z Łapów! — dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął:

— Oj! oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie jak Warszawa.

— Takie — nie takie — odparł stróż — ale zawsze miasto porządne.

Po chwili zaś milczenia rzekł:

— A ty swoją drogą wynoś się ztąd, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrzał na stróża i spytał:

— Gdzież ja pójdę, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda, gdzie on pójdzie, kiedy tak leje?

— Ha! — odparł — to i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy kraść nie zechce. A jutro — zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan.

Michałko podziękował, poszedł do oficyn i po omacku wlazł do znajomej sobie piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmoczoną parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej jeszcze zniósł w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem — nawet trochę chłodno i mokro. Ale on do nędzy przywykł od dziecka, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którędy i po co?...

Głodu nie obawiał się. Miał przecie bez mała jeszcze dwa ruble, a zresztą — alboż głód to dla niego nowina?...

— Ha! wola boska — szepnął. Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jakby to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął twardo bez marzeń, zwyczajnie jak strudzony chłop, który, gdy mu się co przyśni, to mówi, że go dusze nawiedzały.

A jutro... Będzie co Bóg da.

Zrana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszedł. Był zupełnie rzeźki, choć mu się od wczorajszego deszczu włosy polepiły, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postał przed bramą, namyślając się gdzie iść: w lewo czy w prawo? Na rogu zobaczył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił wódki duży kielich i, weselszy, powlókł się w tę stronę, gdzie jeszcze było widać rusztowania.

— Czy szukać roboty?... Czy wracać do domu? — myślał.

Wtem, gdzieś niedaleko, rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi, głośniejszy. Chłop spojrzał.

O paręset kroków, na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad niemi jakby dym czerwony.

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość. Popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie parę domów, kręcili się ludzie strwożeni. Krzyczeli i pokazywali rękami na niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkiem unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Teraz już wiedział co się zdarzyło. Oto nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga — w większej połowie.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a duże belki przeznaczone do dźwigania sufitów opadły, pogięły się i potrzaskały jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byliśmy na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?...

— Jesteśmy!...

— A pomocnicy!...

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja nie ma!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku...

— Trzeba go szukać!... — rzekł majster ochrypniętym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się tam także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!... — wołał majster.

— Usuń się pan! — ostrzegli go. — Ta ściana ledwie że wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział im jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i schwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny wykręcił się konwulsyjnie i stanął na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bolu usta, twarz szarą i zapadnięte oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach co się w nim działo... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód.

Zdawało mu się, że w tym tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka, co tak jak on, przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: pójdę! on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!...

Obejrzał się bojaźliwie. Sam jeden stał przed gromadą, bliżej muru niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!... Co on robi?...

— Cicho!...

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny szlochając z bolu.

— Idę! idę!... — rzekł Michałko, i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj!... — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szepnął ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się!... - krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie! jedzie!... Ino mu jeden but tam ostał...

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał i ostrożnie zanieśli go do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie. Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży, i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor, czy mu co poradzi?...

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum, już takich co byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich, stojący przy furtce Michałko, zawadzał.

— Usuń się gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— Abo co?... — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden zuchwalcze jakiś?... — wrzasnął ciekawy. — Co to, nie ma policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie!... — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki występek nie wsadzono do kozy.

I nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Nie ma tam takiego na ulicy?...

Poczęto szukać.

— Był tu taki!... — krzyknął ktoś— ale poszedł.

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy, i nie znaleźli Michałka.

KONIEC.

O PESYMIZMIE

podług dzieła: „Pessimism, a history and a criticism by James Sully“

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

II.

Przechodzimy teraz do pesymizmu rozumowego, jak on się objawiał w różnych czasach i u różnych narodów. Szukać go będziemy nie w samych tylko filozoficznych systematach, ale także i w religijnych, gdyż tak te, jak i tamte, każde we właściwy sobie sposób, rozwijają swój pogląd na życie ludzkie i sprawy tego świata. Takie lub inne zapatrywanie się na ostateczny cel życia i jego doczesne zadania daje miarę do ocenienia jego wartości i stanowi o charakterze optymistycznym albo pesymistycznym religji i filozofji.

Wszystkie w ogóle religje, które przypisują stworzenie świata istocie rozumnej, i w sprawach jego upatrują czynną tejże istoty opiekę, są z natury rzeczy optymistyczne. Pesymistycznemi mogą one być w pojmowaniu niektórych tylko szczegółów życia ludzkiego, pewnych jego stron.

I tak, wszystkie w ogóle religie wschodnie opierają się na tradycji o złotym wieku, o raju, który kiedyś istniał, a który człowiek utracił. Jestto właśnie pesymistyczny ich żywioł, który rzuca cień na całą rzeczywistość i zaprawia goryczą u cztę życia doczesnego. To też, pomimo całego optymizmu, jakim się odznacza stary testament, odzywa się w nim nierzadko posępna nuta zwątpienia, która u Salomona graniczy z rozpaczą. W Brahminizmie znajdujemy ponury pesymizm, który do pewnego tylko stopnia łagodzi się wiarą, że panujące na tym świecie zło, daje się znieść przez zlanie się z Brahmą, źródłem wszelkiego szczęścia i dobra. Pesymistycznym nawskróś jest Budhyzm, bodaj, czy nie jedyny pod tym względem w religjach wyjątek. Uczy on, że żadnej zgoła nie masz rzeczywistości, że ani była kiedykolwiek, ani też będzie; że nie masz ani stwórcy, ani żadnego w ogóle bytu bezwzględnego. Prawdziwa mądrość, podług niego, polega na uznaniu nicości wszystkiego, w pragnieniu stania się niczem, zlania się z Nirwaną, będącą nicością. Mądrość ta osięga się w zupełności tylko przez śmierć, w życiu częściowo tylko jej się dostępuje, przez wyzucie się z wszystkich żądz i pragnień, przez stłumienie wszelkich uczuć.

Religja grecka i rzymska, poddająca pod kierunek bogów zarówno sprawy życia ludzkiego, jak i zjawiska fizycznej przyrody, jest przeważnie optymistyczną. Pesymistyczny pierwiastek występuje w tym jej dogmacie, który ustanawia nad bogami i ludźmi ślepe i nezłomne w swych wyrokach przeznaczenie. Pierwiastek ten panującym jest w tragedji greckiej, chociaż najnowsza krytyka utrzymuje, że w niej przewodnią myślą nie jest pojęcie fatalizmu, paraliżującego ludzkie usiłowania, ale Nemezis, rozdzielająca między śmiertelnych zło i dobro stosownie do zasług każdego.

Religja chrześciańska, optymistyczna w naznaczaniu ostatecznych celów życia ludzkiego, w nauce o mającem kiedyś nastąpić królestwie bożem i w swym dogmacie o Opatrzności bożej, bez której włos z głowy człowieka spaść nie może, jest pesymistyczną w pojmowaniu zadań doczesnego życia i jego wartości. Życie doczesne, to padoł płaczu i nędzy, w którem wszystko jest znikome. Nie jest ono czem innem, jak pokutniczą pielgrzymką, wiodącą przez wrota śmierci do wiekuistego w drugiem życiu szczęścia. Takie pojmowanie życia, które w samem sobie nie ma żadnego celu, jest też źródłem średniowiecznego ascetyzmu i wszystkich praktyk religijnych, noszących na sobie ślady pogardy dla życia doczesnego.

Głęboko pesymistycznym jest także Mahometanizm, opierający się głównie na fataliźmie, chociaż panująca w nim zmysłowość łagodzi ponury jego charakter. W każdym razie pogodniejszym on jest w zapatrywaniu się na życie ludzkie od nauki Kalwina, który z góry przeznacza pewną ilość dusz ludzkich na potępienie i zbawienie, bez względu na ich winy i zasługi.

Ten sam charakter częściowego pesymizmu, nierozłącznie towarzyszącego optymizmowi, nad którym już to panuje, już to daje mu nad sobą przewagę, stosownie do dziejowych okoliczności— odkrywamy w filozoficznych doktrynach.

Filozoja grecka w głównych swych założeniach jest optymistyczną. Pesymizm jej objawia się w dwóch tylko punktach: w twierdzeniu, że prawda bezwzględna jest niedostępną dla ludzkiego rozumu, i w nauce, że warunkiem przyjemności jest przykrość, że tylko uczucie przykrości jest czemś rzeczywistem, dodatniem, uczucie zaś przyjemności nie jest czem innem, jak brakiem przykrości. Pesymizm ten najbardziej uwydatnia się w nauce Cyników i Stoików. Przybiera zaś charakter prawdziwie indyjskiego pojmowania życia w filozofji Aleksandryjskiej, szczególniej u Neo-Platoników i Neo-Pitagorejczyków. Uczyli oni, że szczęście jest niemożliwem w tem życiu, że słaby tylko jego odblask rozradowuje nas w krótkich chwilach zachwytu (extazy). Stanie się ono dostępnem dopiero po śmierci, kiedy dusza, uwolniona od swej ułomnej i budzącej politowanie osobistości, zleje się z bytem nieskończonym. Umrzeć, nie jestto tracić, ale zyskiwać. Śmierć jest początkiem prawdziwego życia.

Pisma ojców kościoła, walczących w obronie wiary przeciwko judaizmowi z jednej, a poganizmowi z drugiej strony, za główny swój przedmiot mają wytłumaczenie złego. Przypisując stworzenie świata bytowi mądremu i dobremu, nauczali, że zło, panujące w świecie, jest prostem następstwem grzechu, który ze swej strony jest wynikiem swobody wyboru, jaką obdarzone są istoty do pewnego stopnia niezależne od swego stwórcy.

Usiłowanie pogodzenia wolnej woli z koniecznością, z przeznaczeniem, stanowiło też jedno z główniejszych zadań scholastycznej filozofji, która na wskróś przejęła się optymistycznym duchem chrześciaństwa. Nie było to zadanie łatwe. Jednocześnie bowiem, kiedy pod wpływem ojców kościoła ustalał się dogmat wolnej woli, coraz większej siły nabierała także nauka o przeznaczeniu, przedestynacji. Nauka ta miała potężne poparcie w artykułach samejże wiary chrześciańskiej, która przyznaje stwórcy wszechwiedzę i wszechmocność. Chcąc pogodzić z tymi dwoma przymiotami stwórcy trzeci, a mianowicie wszechdobroć, należałoby chyba zaprzeczyć istnienie złego. W przeciwnym bowiem razie musielibyśmy wnosić jedno z dwojga; albo, że stwórca nie jest wszechpotężny i nie mógł usunąć ze świata złego, które tym porządkiem jest niezależnym od niego pierwiastkiem, jest samodzielną potęgą, jak to utrzymywali Manichejczycy; albo, że Stwórca nie jest wszechdobry i ustanowił zło, wiedząc, że jest złem i z góry przeznaczył myriady istot na nędzę i cierpienie nie dla innego jakiegoś powodu, tylko dla tego, że mu się tak podobało. Ten sposób pojmowania rzeczy stanowi właśnie treść nauki Kalwina.

Ażeby zrozumieć usiłowania w tym kierunku scholastycznej filozofji, załączamy tu w kilku słowach rozumowanie Duns-Scota. Wychodząc z założenia, że Bóg nie ma żadnego powodu robić raczej to, jak co innego, powiada: mógł on tak dobrze stworzyć człowieka, jak go i nie stworzyć. Pojęcie dobrego nie może go w niczem ograniczać, gdyż to tylko jest dobrem, co on wybierze, i dobrem dla tego tylko staje się, że on je wybrał. Gdyby on nakazał morderstwo, albo coś innego, co dziś uważa się powszechnie za grzech, przestałyby ono odtąd być zbrodnią i grzechem.

Łatwo pojąć, że ten sposób tłumaczenia złego nie wielką mógł być pociechą dla ludzi, którzy cierpią, którzy w swem uczuciu mają miarę do ocenienia złego i żadnem rozumowaniem tego uczucia osłabić nie potrafią. Teoretyczny ten optymizm, usiłujący znieść zło rzeczywiste zapomocą metafizycznych pomysłów, logicznych sofizmatów, okazał się za słabym, by mógł pokonać praktyczny pesymizm, opierający się na gruncie rzeczywistym.

Z wystąpieniem Giordano Bruno, rozpoczyna się nowy kierunek filozoficznego myślenia. Zerwawszy powijaki teologji, szuka ono odtąd na innych drogach prawdy, nie oglądając się na powagi, które dotąd kierowały jego usiłowaniami.

*

Bruno pierwszy założył fundamenta panteizmu, którego ostatecznym twórcą stał się później Spinoza. Uczy on nas, że dzieło stworzenia nie jest aktem dowolnym, ale koniecznym objawem boskiej inteligencji, która jest nieskończoną. Nieskończona wszystkość zawiera w sobie nieskończoną ilość światów, z których każdy jest dobrym w swoim rodzaju, gdyż każdy jest koniecznym objawem nieskończonego rozumu. Ztąd nie masz rzeczy, któreby istotnie były złemi; zdają się one takiemi tylko ze względu na inne rzeczy, i co jest złem dla jednych, jest dobrem dla drugich.

Spinoza wyraźnie powiada: „żadna rzecz, rozważana w samej sobie, nie może być uznana ani za złą, ani za dobrą. Usiłowanie ocenienia świata i wszystkich w ogóle rzeczy ze względu na ich wartość dla nas, pochodzi z naszej uczuciowej natury, z tego, że zmuszeni jesteśmy doświadczać wrażeń przykrych i przyjemnych wskutek oddziaływania na nas zewnętrznego świata". Że to rozumowanie również można zaliczyć do teoretycznego optymizmu, który przez uznanie zła za złudzenie nie zdoła je złagodzić i uczynić życie lżejszem i znośniejszem dla tych, którzy cierpią — zbytecznem byłoby dowodzić.

Optymizm chrześciańsko-filozoficzny miał dotąd do walczenia z pesymizmem praktycznym, który mniej teoryzując, a więcej opierając się na faktach, wykazywał całą bezzasadność optymistycznego doktrynerstwa. Teraz znajduje on nowego dla siebie przeciwnika — w sceptycznym krytycyzmie, który, nie biorąc w obronę pesymizmu, zwalcza założenia optymizmu dla tego tylko, że uważa je za bezzasadne. Pierwszym szermierzem z tego zastępu był sławny Piotr Bayle, który ostrą krytyką, wymierzoną przeciwko ówczesnej teologi i jej optymistycznym na życie poglądom, spowodował Leibnica do napisania swej Theodycei.

Leibnic wziąwszy w obronę teologiczny optymizm, nadał mu postać wykończonego systematu filozoficznego. Podstawy jego nauki, w której optymizm dochodzi swego kulminacyjnego punktu, są następujące: Bezwzględna wola Boska i Jego dobroć są ograniczone przez Jego mądrość — i ograniczenie to jest właśnie tem, co nazywamy Boską sprawiedliwością. Ztąd postanowienia Jego woli nie są dowolnemi, mają one swą moralną konieczność, różną od konieczności fizycznej. Moralna konieczność zmusza go do wybrania z pośród wszystkich możliwych światów, jakie mu mądrość Jego przedstawia, tego, który jest najdoskonalszym, który zawiera w sobie największą ilość rzeczywistości i który przez to samo jest najszczęśliwszym. Szczęśliwość ta jest udziałem nie samego tylko człowieka, ale całego świata. Oba królestwa przyrody i ducha są tylko stopniami tej samej doskonałości i w zupełnej zostają z sobą harmonii.

Bezpośrednim tego rozumowania wnioskiem jest pojęcie złego, tak moralnego, jak i fizycznego, jako proste ograniczenie. Że zaś pierwiastki tego świata są skończone, a więc ograniczone, dzieje się to nie z woli i postanowienia Boga, ale z samej natury rzeczy. Wprawdzie, wszystko, co istnieje, zależy od Boga i w jego było mocy znieść zło, panujące w świecie; jeżeli więc tego nie uczynił, to snać, że zło dla samej harmonji powszechnej jest tu potrzebnem. Bóg działał w tym razie, jak artysta, który dla podniesienia kolorytu w obrazie używa cieni i dysonansu barw. Zło jest warunkiem sine qua non wspaniałości świata i wszystkich cnót, jakie wśród ludzi objawiają się.

Leibnicowska doktryna, zapewniwszy panowanie optymizmowi przez cały ośmnasty wiek, dała początek owej zasadzie teleologicznej, która uznając człowieka za ostateczny cel stworzenia, upatrywała we wszystkich tworach tego świata właściwe przeznaczenie i utrzymywała, że w naturze panuje najdoskonalszy porządek, z góry obmyślony dla uszczęśliwienia człowieka. Do jakiej niedorzeczności zasada ta bywała posuwaną, dowodzi tego dziesięcio tomowe dzieło niejakiego Brockes'a z Hamburga, który z całą powagą filozofa i erudyty wykazuje, jak Bóg stwarzając rośliny i zwierzęta, zawsze miał na uwadze, ażeby, zapewniając w nich człowiekowi pożywienie, zrobić je dlań najprzyjemniejszem. W ustępie, w którym zastanawia się nad wartością gęsi i ocenia znaczenie pod względem gastronomicznym każdej jej części — wygłasza patetycznie zapytanie: „Czyż nie przemawia do nas z tego zwierzęcia, wraz z mądrością i wszechmocą Boga, wielka jego miłość dla nas?!"

Tego rodzaju szaleństwa, ośmieszające optymizm, a tem samem wzmacniające stanowisko przeciwnego mu pesyimzmu, wywołały ostrą satyrę w postaci romansu: *Candide*, napisanego przez Woltera. W romansie tym występuje Panglos, który, wychodząc z zasady, że w tym najlepszym świecie wszystko dzieje się najlepiej, dowód tego widzi oczywisty w tem nawet, że został przez śtą Inkwizycję powieszonym. Mógł bowiem być spalonym i wtedy skończyłoby się z nim na zawsze, gdy tymczasem, skazany na powieszenie, został odcięty i przywrócony do życia. Do skarykaturowania teleologicznej zasady niepotrzeba było więcej nad tego rodzaju zdania, wygłaszane z pedancką powagą przez Panglosa: „Ponieważ nos mamy dla tego, byśmy nosili okulary, więc mamy okulary, jak również mamy trzewiki dla tego, że do ich noszenia dane nam są stopy.

Wolter zresztą nie należał wcale do pesymistów, przeciwnie, będąc theistą, wyznawał optymizm, ale optymizmu miarkowany, który pozwalał mu rozpoznać, że zło nie przestaje być złem dla człowieka, chociażby najlogiczniej udowodnili mu, że powinien je uważać za dobre. Bezpośrednie jego czucie, świadomość jego mówi mu wcale co innego — a wobec niego wszelkie, chociażby najgenialniejsze rozumowania, nic nie znaczą. To też w dziełach Woltera nie rzadko można spotkać się z ustępami, którychby się nie powstydził najzaciętszy pesymista. W jednem miejscu czytamy: „Szczęście jest snem; cierpienie tylko rzeczywistością. Doznaję tego od lat ośmdziesięciu. Nie pozostaje mi nic innego, jak uzbroić się w rezygnację i powtarzać sobie, że muchy na to są stworzone, aby były pożarte przez pająki, ludzie zaś, ażeby byli strawieni przez smutki."

Jednocześnie z Wolterem, zwalczającym ostrą satyrą ekstrawagancje optymizmu, który w swych wywodach dotarł do kresu, gdzie się kończy zdrowy rozsądek; wystąpił do walki, już nie przeciwko samemu tylko optymizmowi, ale także i pesymizmowi Dawid Hume, sławny historyk i filozof angielski. Zająwszy ściśle naukowe stanowisko, nie bawiąc się w żadne wywody *à priori*, lecz posługując się wyłącznie faktami, jakich mu życie ludzkie dostarczyło, utrzymuje w swych *Djalogach o religji naturalnej*, że stawianie po nad światem miłosiernego Boga jest przypuszczeniem, które nie wytrzymuje krytyki; że przyroda, zarówno jak i przypuszczalny jej stwórca bynajmniej nie troszczą się o szczęście ludzkości; że świat, zamiast dowodzić istnienia ojcowskich rządów, wykazuje swemi zjawiskami panowanie ślepej przyrody, działającej bez najmniejszego na ludzi względu. Czynne w świecie siły nie są ani złe, ani dobre; najprawdopodobniej są one zgoła obojętne.

Wobec gryzącej satyry Woltera, wobec krytyki Hume'a, zimnej i spokojnej, ale obalającej jedna za drugą wszystkie podstawy metafizyczno-teologiczne optymizmu, — doktryna ta, ciesząca się dotąd tak powszechnem uznaniem, nie mogła dłużej ostać się na swem stanowisku. To też widzimy, że z początkiem bieżącego stólecia pesymizm stanowczą bierze nad nią przewagę i w końcu staje się panującym nie tylko w poezji, ale nawet w filozofji.

Podmiotowy idealizm Kanta i Fichtego, sprowadzający widomy świat do znaczenia czystej fantasmagorji; mistycyzm Szelinga, uważający życie powszechne za walkę ducha z naturą, dobrego ze złem; logiczny fatalizm Hegla, okuwający rzeczywistość w oschłe formułki oderwanego myślenia — zdradzają głęboki pesymizm. Wprawdzie nie brak im poglądów optymistycznych. Przez łączenie świata rzeczywistego, świata zjawisk, ze sferą bezwzględnej prawdy, przez przyczepianie do życia ludzkiego etycznych celów — starają się podnieść znaczenie rzeczywistości, uzacnić ją i uszlachetnić! I tem właśnie różnią się one od pesymizmu Schopenhanera i jego uczniów — których usiłowaniem wykazać całą nicość wszelkiego istnienia.

W tym samym czasie, kiedy pesymizm coraz badziej ugruntowywał się w niemieckiej filozofji; kiedy, pokonany na wszystkich punktach optymizm, zdołał zaledwie znaleźć schronienie dla siebie w fałdach oratorskiej togi Cousina; kiedy w Anglji znowu, gdzie filozofja zawsze odznaczała się samodzielnością myśli i trzeźwością poglądu, zapanował kierunek krytyczny, któremu początek dał Hume: w tym samem czasie wyrobiło się nowe stanowiska zapatrywania się na rzeczy, nowa zasada pojmowania życia ludzkiego i dziejów, — zasada postępu i rozwoju. Dwie te teorje, pomimo wielkiego do siebie podobieństwa, różnią się od siebie znacznie. Teorja postępu, której twórcami są Condorcet i Comte, opiera się na założeniach ogólnych, kreśli plan dziejów ludzkości, mniej radząc się faktów, a więcej logicznej konsekwencji apiorystycznych założeń; gdy tymczasem teorja rozwoju, jak ją opracowali Spencer i Darwin—opiera się w swych wywodach na faktach doświadczenia, na znajomości praw natury, oznacza ściśle, jakie czynniki w dziele rozwoju biorą udział i jaki skutek ze współdziałania ich prawdopodobnie nastąpić musi w przyszłości. Obie te teorje, przeciwstawione optymizmowi i pesymizmowi, możnaby nazwać *melioryzmem*. Polegają one na przekonaniu, że jakkolwiek dzisiaj wiele jest złego wśród ludzkości, że lubo obecna doba budzi w umyśle niesmak i nastraja go pesymistycznie — w przyszłości jednakże będzie lepiej. Stosunki społeczno-polityczne ułożą się na podstawach więcej sprawiedliwych, w sercach ludzi ugruntuje się większe poczucie słuszności, w miarę wzrastającej oświaty większa suma dobrego zapewniona będzie jednostce.

Teorja rozwoju, uważająca człowieka na równi z innymi tworami przyrody, sprowadzająca życie ludzkości do czynników czysto naturalnych, nie cieszy się wielkiem powodzeniem, szczególniej u nas. Rzecz się ma inaczej z teorją postępu. Ta w krótkim przeciągu czasu potrafiła zapewnić sobie powszechne panowanie, tak że dzisiaj jest niejako aktem wiary każdego człowieka, stając się potężną dźwignią w życiu. Teora postępu wybitną gra rolę w naszej filozofji. Apostołami jej są: Wroński, twórca *mesjanizmu*, który następnie Mickiewicz i Krasiński przerobili na swój sposób; Trentowski, zapowiadający panowanie prawdziwej mądrości, którą filozofja polska ma ugruntować; Cieszkowski i Królikowski, przepowiadający na przyszłość królestwo boże na ziemi. Wszyscy ci filozofowie, potępiając obecną dobę, jako chwilę przejścia, jako walkę wrogich żywiołów — zwracają wzrok ku przyszłości i z otuchą w sercu wskazują nam na mnogie znaki na niebie, mające jakoby zapowiadać świtanie lepszej przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OPINJA.

Mój przyjaciel Kalasanty
Był mężem niezwykłej miary:
Jadł, pił, pożyczał na fanty,
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryję
Przesiedział rok na uboczu,
Raz dostał w twarz, a raz kije,
Potem straciłem go z oczu.

Nagle, widzę go w Tryjeście,
Z duszą cokolwiek zbolałą;
Miał on majątek nareszcie,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak lękał się opinji,
Stał się drażliwy i dziki;
Do brata, gdzieś tam w Wirginji
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem. Zostań, rzekłem,
Spocznij po żywota trudzie,
Kraj nasz nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi, i u nas są ludzie.

Został. Podobno we Lwowie
Otwiera dom. A Wirginja?
Głupstwo, ani mu już w głowie.
Pojechała tam — opinja.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jak w zeszłym tygodniu narzekali wszyscy na śnieg i zimno, tak teraz krzywią się na upał, i dogodź-że tu kiedy ludziom! Rzeczywiście wiosna zawitała do nas tak nagle, że piękne panie nie miały czasu przygotować letnich strojów, co im nie mało sprawia kłopotu. Dlatego też odbywają się teraz prawdziwe procesje od magazynu do magazynu, a wszędzie ruch, targowania się, przymierzania, a naturalnie i przyglądania w zwierciadłach.

Już to trzeba przyznać, że kobiety nasze jeżeli zawsze są piękne i miłe, to najpiękniejsze na wiosnę. Najprzód nieopalone, co twarzyczkom ich nadaje wiele świeżości, powtóre zatęsknione za światem, a zatem mniej wyekspensowane z zapasów zalotności. Nie radzę więc młodym dandysom zanadto przypatrywać się błyszczącym ich oczom w tej porze; kupidyn miał czas przez długie sześć miesięcy, tak doskonale zaopatrzyć swój sajdak w zapas strzał niestępionych, że dość mu łuk naciągnąć, aby ofiarę swą porazić śmiertelnie. A przyznam się czytelnikom, że u nas we Lwowie, co młody buziak, to kandydat na zwycięzcę, tych zaś buziaków jest tyle, że kroku nie można zrobić na ulicy, żeby się nie potrzeba oglądać za siebie, bo zaraz coś mimowoli kark skręca człowiekowi, a w sercu robi się nieporządek. Ostrzegam przeto kogo należy, a czytelniczkom znów życzę, aby nie powodowały się jaką bądź litością: strzelać, strzelać bez pardonu, dopóki całe zastępy nieżonatych lowelasów nie runą u stóp waszych, jak Krumirowie u stóp rycerzy nowej respubliki francuskiej. Razem z wiosną, ludzie, którym już więcej pstro na głowie niż w głowie, nie są uwolnieni od medytacji. Najprzód spodziewany akt zaślubin arcyksięcia Rudolfa obudza mnóstwo apetytów, nie na żenienie się, broń Boże, ale na ekscelencje, na Franciszków Józefów, Leopoldów, żelazne korony i tym podobne błyszczące dolegliwości. Są tacy, którzy gotowi by natychmiast zasiąść na ławie, nie oskarżonych, ale panów i przemienić się w filary ojczyzny; inni poprzestaliby na szambelaństwie, a inni wreszcie radziby się znaleść choćby na szarym końcu w jakiejbądź deputacji, bo to najciężej pierwszy raz dostać się na tę drogę, po której później jedzie się zwykle pospiesznym pociągiem do... ekscelencji. Tymczasem nasi ojcowie ojczyzny nakształt zuchwałych Ajaksów, staczają ciężkie boje z centralistami o ten nieszczęśliwy deficyt budżetowy. Wyście temu winni, że musimy pożyczać — wołają jedni — przeciwnie zarzucają drudzy — wasza wina, że pożyczacie bez programu — ale pożyczamy tanio... Wielka rzecz, kiedy pieniędzy na świecie więcej niż plew przy omłocie pszenicy... Programu żądamy, programu.

Otóż czytelnicy moi, nigdy nie mogę tego zrozumieć, na co tu programu do pożyczania, Boże drogi, któż z nas bezpieniężnych nie miewa czasami stu programów, a mimo to nie jest wstanie ulokować swojej renty, choćby na 20 za 100. Idzie wiosna, potrzeba jednego i drugiego garnituru, potrzeba pomyśleć o wyjeździe ze Lwowa, potrzeba... czego nie potrzeba! a tu w kieszeni dokuczliwszy nihilizm, niż w Petersburgu, a renta nasza w obec Banków bez żadnej wartości. W takich razach przyznaję, że gdyby mię kto wtedy puścił na mównicę, piorunowałbym daleko złośliwiej od ministra Dunajewskiego, daleko kategoryczniej od pana Hausnera. Potrzeba każda jest rodzicielką odwagi nietylko cywilnej, ale i wojskowej...

Nie jestem wcale finansistą, czego najlepszy dowód, że piszę kroniki — ale jak idzie o podatki, to mam swoje niewzruszone opinje i utrzymuję stanowczo, że każden z nas lokatorów bezkamienicznych, płaci daleko więcej podatków od szanownych gospodarzy, w których pałacach mieszkamy. Taki jeden i drugi kapitalista, kupując dom, liczy sobie, żeby, po odtrąceniu wszelkich wydatków, z tego domu miał od swego kapitału przynajmniej sześć procent i naturalnie że ma, bo inaczej aniby domu nie kupił, aniby go nie budował. Któż więc płaci ten podatek z domu? — naturalnie, my, lokatorowie, których zamożność z właścicielem domu ma się jak 0 do wartości tej posesji. Zróbmy rachunek przybliżony: urzędnik naprzykład pobierający 2000 złr., płaci za lokal, jak u nas we Lwowie 500 złr., z których na podatki wypada 48% to jest 240 złr.; dodawszy do tego opłaty dochodowe: od płacy jako urzędnik, opłaty konsumcyjne itp., pokaże się, że taki mizerny pracownik, utrzymujący z pracy rąk siebie i rodzinę, przynajmniej 40% swego zarobku oddaje na potrzeby państwa, gdy tymczasem kapitalista, mający dom wartości parękroć stotysięcy, od tego majątku nic nie płaci, bo swój procent sześć czy siedm regularnie pobiera. Jakiż tu więc stosunek — jaka proporcja, nawet z podatkiem gruntowym z majętności ziemskich?

Gospodarzowi czy się urodzi, czy nie urodzi, czy drogo czy tanio, nakładają stały podatek; o ceny zboża konkuruje z nim cały świat, więc i tutaj ma on ręce związane, gdy przeciwnie w mieście, mającem ograniczony teren, łatwiej w razie potrzeby podnieść ceny najmu i trzymać się takowych solidarnie. Jednem słowem, jak chcesz bierz, zawsze kapitał potrafi się wykręcić i zwalić ciężary na pracujących — a ta okoliczność właśnie stanowi przedmiot nieustannych zatargów między pracą i kapitałem.

Ale dajmy pokój tym lamentacjom podatkowym i powróćmy na bruk kochanego Lwowa. Oto trzeciego maja odbyliśmy dziewięćdziesięcioletnią rocznicę owej kostytucji, która pokazała Europie, jak daleko mogą pójść dobre chęci narodu. W katedrze ludu jak nabił na nabożeństwie, popołudniu wycieczka na kopiec Unii z muzyką, wieczór przedstawienie w teatrze dramatu Bolesławity. Co do teatru, musimy przyznać, że nowa dyrekcja jak na początek, dobrze się wywiązuje ze swego zadania, w wyborze sztuk znać więcej wybredny smak, a wykonanie nie pozostawia nic do życzenia. Rapacki w „Miodzie kasztelańskim" i w „Księciu Radziwile, można powiedzieć, że cofnął się o sto lat wstecz, a wyprowadzając z grobu żywe ówczesne postacie, do tego stopnia potrafił owiać je prawdą dziejową, że sam książę Karol Panie Kochanku gdyby go zobaczył na scenie, musiałby macać własną osobę, aby się przekonać czy to on, czy pan Rapacki jest właściwym Radziwiłem. Szczęśliwy to talent, gdy w ten sposób potrafi wskrzeszać z grobu!

Urywek ze wspomnień

MICHAŁA MODZELEWSKIEGO

mających wejść w «Zbiór Pamiętników do historji powstania z r. 1830—1831», układany staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych, na uczczenie pięćdziesięcioletniej rocznicy listopadowej.

Bitwa pod Ostrołęką.

. . . .
. . . .

Około godziny 5 z wieczora ucichły strzały działowe pomiędzy naszym korpusem, a postę-

pującem zwolna za nami wojskiem moskiewskiem. Mieliśmy więc dość czasu wieczorem i nocą przeprawić się najspokojniej przez Narew, znieść most i ruszyć do Warszawy lub gdziekolwiek, nie mając zamiaru stoczenia bitwy w tem miejscu. Jednak wódz naczelny rozporządził inaczej.

Ponieważ dni były bardzo gorące, wojsko otrzymało rozkaz kąpania się w Narwi w dniu 26 maja; oczywiście nie myślano wieczorem dnia 25. o bitwie, którą miano stoczyć nazajutrz. Gdyby Skrzynecki przypuszczał coś podobnego, byłby zapewne wezwał na pomoc Giełguda, który w nocy mógłby otrzymać rozkaz. Tegoż dnia był bowiem w Łomży, odległej o 5 mil od Ostrołęki, a nazajutrz dnia 26. mógłby się z nami połączyć. Na Litwę nie miano zamiaru wysłać Giełguda, bo pod zasłoną ruchu na Tykocin już pociągnął generał Chłapowski z oddziałem swoim, złożonym głównie z oficerów-instruktorów, dla uorganizowania powstania litewskiego. Tem mniej zaś myślał kto u nas o bitwie, że wszelakie zapaśne parki artylerji i oprócz trzech, wszystkie baterje wyprawiono na Różan do Pułtuska i dalej.

Korpus Łubieńskiego przepędził noc w pomienionej wsi Ławach, Moskale zaś po za lasem w Susku, Janochach, Grundzielach. Jeszcze dnia 26. przed wschodem słońca mogliśmy się spokojnie wycofać; tymczasem w nocy, jak później dowiedzieliśmy się, Prądzyński wymógł na Skrzyneckim, aby wyprawa na gwardje nie zakończyła się zupełnie bezskutecznie, lecz żebyśmy tu zamienili z Moskalami nieco strzałów działowych, dobrze odbijać mogących w raporcie naczelnego wodza. Miało się więc zakończyć na huku działowym i nikt nie pomyślał, że nazajutrz mieliśmy stoczyć formalną bitwę.

Pod Ostrołęką były 3 baterje artylerji, a mianowicie dwie piesze Najmanowskiego i Łapińskiego i trzecia pozycyjna Bieleckiego. Pierwsze dwie w cofaniu się z pod Nura, tak dalece wystrzelały swą amunicję, że ledwie na działo pozostało 8 do 12 nabojów. Baterja Bieleckiego podobnież mało miała nabojów w jaszczykach, parki zapaśne 1-szo i 2-go rzędowe jeszcze dnia 25. maja również odesłano na trakt pułtuski. Ważna była to okoliczność, bo decydująca o wyniku bitwy pod Ostrołęką — do czego jednak wódz naczelny w raporcie swym nie chciał się przyznać. Widocznie więc z naszej strony nie miano zamiaru staczać walnej bitwy, bo przygotowanoby się lepiej, a przynajmniej obliczonoby ilość strzałów działowych.

Przed wschodem słońca, dnia 26. maja, nadszedł rozkaz zajęcia wsi kościelnej Rzekunia, o pół mili w bok na prawo od Ław, na jednej z niemi linji położonej. Generał Henryk Kamiński wysłał tam 2 bataljony piechoty i 2 działa lekkiej pieszej artylerji, pod dowództwem szefa sztabu dywizji, kapitana kwatermistrzostwa Komierowskiego.

Wadą było kwatermistrzostwa, że zamiast patrolowania każdy przesmyk obsadzało drobnymi oddziałkami. Trzymał się tego Komierowski i pomimo, że nasze prawe skrzydło i czoło ubezpieczały las i błota, a nadto zajmowaliśmy trakt od Ostrowa, on jednak najniepotrzebniej rozsunął daleko w las na prawo drobne piesze posterunki, których ściąganie w potrzebie wiele czasu zabierało. Generał przeznaczył mi służbę przy Komierowskim, właśnie w tym punkcie Rzekunia i dla tego też dobrze wiem, co się działo.

Łubieński postawił na forpocztach po nad lasem od czoła parę szwadronów 4 i 5 pułku strzelców konnych. Zaraz po wschodzie słońca około godziny 4 i pół zaczęły debuszować z lasu kolumny moskiewskie pod dowództwem Witta. Jazda nasza zwijała się i cofała powoli. Zaczęły grać działa i cały korpus stanął pod bronią. Cofanie się naszych i nacieranie Moskali odbywało się bardzo powoli, tak że przez tę małą milkę ze 3 godziny się cofano. Z Rzekunia doskonale to widzieliśmy, ale zamiast zwolna cofać się także w równej linji z korpusem, Komierowski stał jak zaklęty, tłómacząc się, że nie otrzymał odpowiedniego rozkazu. Moskale nawet nie rozwinęli się na trakcie od Ostrowa i nie widzieli, że stoimy w Rzekuniu. Niebawem spostrzegliśmy już tylną straż korpusu, mijającą naszą linję; czas był i nam się cofnąć. Ale Komierowskiemu zachciało się bez potrzeby trzymać się tego punktu do upadłego i myślał zapewne, że dwa bataljony i dwa działa całą armię Dybicza rozbiją!

Dowiedzieliśmy się później, że generał Łubieński wysłał swego adjutanta, Olszewskiego, z 4 pułku strzelców konnych z rozkazem, ażebyśmy się cofali wolno, na wysokości linji czoła korpusu. Ale Olszewski do nas nie dojechał i rozkazu nie oddał, a później tłómaczył się tem, że kozacy mieli mu drogę przeciąć. Było to wierutnem kłamstwem, bo tam ani kawałka kozaka nigdzie nie było.

Już korpus nasz dochodził do Ostrołęki, a Komierowski stał ciągle, oczekując rozkazu. Zachciało mu się widocznie stoczyć tu bitwę; wysłał mnie, abym przyprowadził owe dwa działa, stojące w tyle i postawił je na pozycji; pędzę, aby dopełnić polecenia, gdy wtem zatrzymuje mnie major z 3. pułku piechoty, Podczaski, tęgi oficer i pyta, dokąd pędzę. Gdy mu odpowiedziałem, schwycił się za głowę i zawołał: „Czy ten Komierowski oszalał?“ „Czy oszalał, czy nie, trzeba wykonać, co kazał“. Stawiam na pozycji przyprowadzone 2 działa, a Komierowski kazał dać ognia do Moskali. Dopiero wówczas dowiedzieli się, że pozostał tam nasz oddziałek, a ponieważ widocznie nie mieli pod ręką jazdy, kazano im zrzucić płaszcze i tornistry, poczem piechota ich biegiem rzuciła się na nas, chcąc nas odciąć i zabrać do niewoli. Spostrzegł się wreszcie Komierowski, że bąka strzelił, wysyła mię zatem do generała Paca, aby mu przysłał parę bataljonów w pomoc. Generał Pac i kilku innych, stało konno na wzgórzach piaszczystych po tej stronie Ostrołęki przy drodze do Ław. Raportuję i powiadam, o co idzie. Generał odpowiednie wydał rozkazy. Przypadam do Komierowskiego z raportem, ale już nasz oddział spiesznie cofnął się ku Ostrołęce tak, że go Moskale nie zabrali. Szczęśliwie dotarł do miasteczka, ale tu na trakcie wystawiono barykadę, a straż postawiona przy niej nie chciała nas puścić, żądając, abyśmy obeszli Ostrołękę i w ten sposób dostali się na most. Chyba razem z Moskalami— pomyślałem, a ponieważ jechałem na czele kompanji grenadjerów 3. pułku piechoty linjowej i nie było czasu do stracenia — zawołałem więc: „Grenadjery! znieście barykadę i marsz naprzód!“ W jednej chwili rozkaz wykonano, a oddział przesunąwszy się przez miasteczko, dotarł do mostu. Tymczasem zaś już dwa bataljony, jeden z 4. a drugi 8. pułku piechoty linjowej, zasłaniające nasz odwrót, biły się z Moskalami i parte przez nich, razem z nimi dostały się do miasteczka, a potem na dwa mosty — z których jeden był na palach, a drugi pontonowy — który to ostatni załamał się, przy czem wpadło do wody nieco naszych i Moskali. Oddział Komierowskiego przedtem jeszcze przebył most główny i połączył się z brygadą.

Kapitan Sulistrowski od saperów, przykomenderowany do naszej dywizji, miał rozkaz zniszczenia mostu i spalenia go po przebyciu przezeń całej naszej armji. Ale śmieszne zachcianki Komierowskiego sprawiły, że na czas nie mógł tego dokonać, a gdyśmy przeprawili się na drugą stronę, nie było już na to czasu. Pomimo to przy pomocy robotników wziętych z miasteczka, zdołał pomost zrzucić i podpalić nawet niektóre słupy, lecz celu w zupełności nie osiągnięto, strzały bowiem karabinowe odstraszyły Żydów i innych robotników.

Reszta naszych po belkach dosyć zręcznie dostała się na drugą stronę rzeki, przyczem szczególne zaszło tu zdarzenie. Generał Bogusławski pełen męztwa i zdolności, a osobliwie wiary w naszą sprawę, wjechał na swym białym koniu nie na most, ale na belkę mostu, stanowiącą wiązanie i posuwał się po niej pod strzałami nieprzyjaciela. Czwartaki widząc niebezpieczeństwo, grożące swemu dawnemu dowódcy (przedtem był bowiem dowódcą 4go pułku piechoty liniowej) usilnie go prosili, aby zsiadł z konia i pod ich osłoną przeszedł na drugą stronę. Ale generał zawołał (a mówił trochę przez nos): „Pilnujcie swego obowiązku, a mnie dajcie pokój“. — Nic to wszakże nie pomogło. Żołnierze kochający wodza, podnieśli go z konia i postawili niezadowolonego, łającego generała na nogi, gdy wtem koń jego jakby mu się we łbie zawróciło, spadł z belki ze znacznie wyniesionego i długiego mostu między pale w wodę. Nic mu się jednak na szczęście nie stało; poczciwe konisko, przepłynąwszy, stanęło na brzegu, czekając na swego jeźdzca. Wnet nadszedł Bogusławski otoczony dzielnymi czwartakami, wsiadł na swego wiernego rumaka i z najzimniejszą krwią zajął swoje miejsce.

Tymczasem rozwinęła się moskiewska artylerja na wysokim brzegu Narwi od strony Ostrołęki, po obu bokach miasteczka; mogło być mniej więcej z 60 dział, miotających bezustanny ogień. Odwrót i przeprawa na drugi brzeg rzeki zajęły nam czas mniej więcej do 10tej godziny z rana.

Wojsko nasze stało w kolumnach, jazdę umieszczono w tyle. Plac boju wynosił mało co więcej nad $1^1/_2$ ćwierci mili kwadratowej i był nieco dłuższy niż szerszy. Z trzech stron otaczały nas lasy i krzaki, a mianowicie lasy po prawej i lewej stronie placu boju była rzeczka Omulew, a nad nią wieś Kruki, na wyniosłości dosyć znacznej, dalej zaś nad Omulewem wieś Dymusy. Po lewej stronie, krzaki zaś z tyłu od wsi Pasarski o Olszewka. Po prawej stronie placu boju ciągnął się gęsty las, do wsi Myszyńca i przyległej Olszówki należący.

Lasy te, krzaki i miejsce wolne, zajęły kolumny naszej piechoty; jazda stanęła w tyle ku Pisarkom, przy starym trakcie, wiodącym do Myszyńca. Miejsce bitwy przecinał drugi trakt bity w ten sposób, że od mostu szedł w prostej linji na strzał karabinowy, a następnie nagle łamał się w lewo, równolegle z rzeką Narwią.

w kąt prawie prosty ku Rożanowi i dalej. Bitą tę drogę przecinała rzeczka Omulew, a blisko jej ujścia nad gościńcem, stały murowane domki, należące do robotników jakiejś fabryki. Na lewo od placu boju, nad samym brzegiem lasu jest pagórek piasczysty, o strzał kartaczowy oddalony od mostu; zajęła go nieco przed godziną 10 z rana baterja pozycyjna Bieleckiego. Pomiędzy brzegiem Narwi, a łamiącą się bitą drogą warszawską, idącą ku Rożanowi, jest plac wilgotny w skutek zalewów, szosa zaś, wyniesiona na parę łokci ponad poziom, stanowi szeroki, wysoki i doskonały parapet.

Skoro przejechałem przez most wraz z oddziałem Komierowskiego, bataliony udały się do swoich pułków, ja zaś chcąc obejrzeć plac boju i zobaczyć, gdzie się znajdował generał dywizji i jak bataliony moskiewskie przeprawiały się przez most, napowrót ułożony — wjechałem na ów pagórek piaszczysty, ponad lasem od lewego skrzydła będący, gdzie poprzednio stała baterja Bieleckiego. Dla zorjentowania się przyglądałem się ruchom wojsk naszych i nieprzyjacielskich; w tem nadjeżdża naczelny wódz z generałem Prądzyńskim, który prowadząc za sobą baterje Bieleckiego, zawołał: »*C'est d'ici, qu'il faut mitrailler cette canaille!!*» — wskazując na Moskali, szykujących się w zbite kolumny, od mostu po obu stronach traktu, ale tak zgniecone, że nie przechodziły załamu tejże drogi. Muszę tu zauważyć, że generałowie zwykle dawali rozkazy oficerom sztabowym po francusku i że tymże językiem ustnie się komunikowali, do czego przykład dawał sztab naczelnego wodza.

Gdy baterja zatoczyła działa i zaczęła sypać kartaczami, zjechałem z tego miejsca, stanąłem przy generale Kamińskim i już nie odstępowałem go przez cały dzień, służbę przy nim pełniąc. Lecz strzały Bieleckiego niedługo trwały; wkrótce brakło amunicji, co także nastąpiło i w baterji Najmanowskiego, który był zajął pozycję przy owych murowanych domkach nad szosą i koło Omulewa. Naczelny wódz nie pochwalił odległości, z której najskuteczniej można było strzelać do nieprzyjaciela, a tak jedną jak i drugą baterją z właściwego punktu posunął naprzód ku Moskalom. Całkiem słusznie zganił to Prądzyński, przywodząc napowrót Bielekiego tam, gdzie stał poprzednio. Co do Najmanowskiego, to ten także posunięty niepotrzebnie bliżej Moskali, nie wrócił na swą poprzednią pozycją, ale wystrzelawszy całą swoję amunicją — co krótko trwało, bo jej miał mało bardzo, siadł na dziale i czekał dalszych rozkazów. Tymczasem gdy artylerja nasza zamilkła, Moskali zaczęli się rozwijać, a ubiwszy konie, zabrali jedno działo; nie uprowadzili go jednak. Wtedy Najmanowski chociaż nie otrzymał rozkazu, cofnął się, nie miał bowiem nic do roboty, a musiał ocalić działa baterji, bezużytecznie tam stojącej. Miano mu to za złe, że bez rozkazu ustąpił na drogę ku Rożanowi, lecz cóż mógł innego uczynić ten zdolny i waleczny oficer?

Artylerji konnej, o ile mi wiadomo, do wieczora również nie użyto; zapewne dlatego, że i jej także brakło amunicji. Widocznie nawet w chwili, gdy już dobrze rozpoznać było można, że się na stanowczy bój zaniosło, nikomu w sztabie nie przyszło na myśl, ani naczelnemu wodzowi, ani Prądzyńskiemu, że należy posłać po zapasową amunicją lub świeże baterje; dopiero później, gdy już zupełnie zamilkły nasze działa, pomyślano o ściągnięciu konnej baterji Bema, już o parę mil oddalonej od placu boju.

Jak tylko z naszej strony przestano sypać kartaczami, zaczęli się Moskale posuwać wszerz i naprzód; nie mogli jednak dotrzeć daleko. Kolumny naszej piechoty stały od nich prawie tylko o strzał karabinowy, a tak więc rozwijanie się ich było niepodobnem. Co powinny były zrobić kartacze, to w ich zastępstwie musiała teraz spełniać piechota i konnica, bo naczelny wódz, chcąc przeprzeć Moskali na drugą stronę Narwi, użył do tego piechoty, a następnie jazdy.

Na ścieśnione kolumny moskiewskie uderzyły nasze brygady raz po raz, naprzód ogniem karabinowym, a później bagnetem. Droga bita, jak parapet, dobrze osłaniała front moskiewski, palba obustronna nużyła bez skutku, a więc hurra!! Żołnierze nasi powskakiwali na ów jakby parapet drogowy i z góry kolbami, bagnetami i kosami walić poczęli Moskali. Przykład naszym dał dzielny żołnierz z 7 pułku piechoty liniowej Tomasz Nowak; on to, obróciwszy karabin kolbą do góry, wdarł się na bitą drogę i krzyknął: „Hurra! za mną chłopcy!“ Natarcia tak były gwałtowne, iż wpychano Moskali w rzekę, albo na most, którędy jednak również cofnąć się nie mogli, gdyż za mostem ustawił był Dybicz kilka dział i do uciekających walił kartaczami, a tak we dwa ognie wzięci, musieli wracać przeciw naszym tem więcej, że Dybicz w miejsce zniesionych, coraz nowe wysyłał bataliony.

Ale największą odwagę żołnierza można zdemoralizować, jeżeli nie słyszy on swoich dział które podnoszą jego męztwo, pod Ostrołęką zaś można było wykartaczować, choćby całą armią moskiewską. To też, pomimo dzielnych ataków naszej piechoty, poczęła ona w końcu ustępować. Generałowie Pac i Bogusławski sami kilka razy prowadzili bataliony, odnosiło to jednak skutek chwilowy. Pac był wtedy cztery razy ranny, dwa razy od strzałów, a dwa od bagnetu. Bogusławski i Załuski również odnieśli rany — a pomimo to widziałem ich ciągle na placu boju.

Warto tu wspomnieć także o następującym szczególe. W lesie po lewej stronie placu boju stał 8 pułk piechoty liniowej, pod dowództwem pułkownika Kierwińskiego i trzymał w ryzie Moskali, aby się w tę stronę nie rozsypywali, ani w tyralierkę, ani w kolumnach. Pułk ten już 2 razy szedł do szturmu na wroga, prąc go niemiłosiernie; przeprzeć jednak nie zdołał, bo ubytek swoich zastępowali Moskale coraz świeżymi batalionami. Wtem, około godziny 4. czy 5. po południu, w te słowa odezwał się Kierwiński do pułku: „Chłopcy, czy wy kochacie Pana Boga?“ „Kochamy“ — odkrzyknęli. „A ojczyznę czy kochacie?“ „Kochamy, panie pułkowniku!“ „A mnie czy także kochacie?“ „Kochamy panie pułkowniku!“ „W takim wypadku uderzmy raz jeszcze na nieprzyjaciela?“ Jak huragan rzucili się też na Moskali za swym dzielnym pułkownikiem, który poległ niestety w tej walce. O ile wiem, nikt dotąd o nim nie wspomniał, a przecież należy mu się nagroda w pamięci ojczyzny!

W miejscu tem, gdzie stał 8 pułk piechoty liniowej, nie byłem wprawdzie osobiście obecny, ale rzecz całą po bitwie opowiadali mi żołnierze z tego pułku, ktorym zupełnie mogłem wierzyć. Szturmy piechoty naszej tem bardziej musiały ustać, że podczas tej bitwy żołnierze we dwóch odprowadzali rannych z placu boju i nie wracali już do frontu, co tak siły nasze osłabiało, że bataliony nie były już w możności wykłuć bagnetami, lub wyrąbać kosami Moskali, a ci jakkolwiek parci, przecież nie czując natarć takich, jak poprzednie, naprzód posuwać się poczęli.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Goszczący u nas od kilku dni artysta teatru Warszawskiego, p. Rapacki, występował w *Safandułach* w roli Vauclina, w *Miodzie kasztelańskim* jako Sołoducha, a w *Narcyzie Rameau* i *Panie Kochanku* w rolach tytułowych.

Wszystkie te kreacje, jak się należało spodziewać po artyście tej miary i takiej inteligencji co p. Rapacki, były wyborne w swoim rodzaju, odnośnie do tego, jak je artysta indywidualnie pojął, tudzież jakimi środkami i co w nich chciał uwydatnić.

Kto jednak przyzwyczaił się do nieco odmiennie pojmowanych typów, jak n. p. dobrego naszego znajomego Vauclina w Safandułach, którego doskonałym przedstawicielem na naszej scenie jest p. Fiszer, ten może, opierając się na utartych reminiscencjach, uczyni panu Rapackiemu tu lub ówdzie jaki zarzut— nie przynosi to jednak wcale żadnej ujmy wybornej, konsekwentnie prowadzonej grze naszego gościa. Jeżeli bowiem jego Vauclin rozwinął może za mało uczucia, zanadto był zimny wobec cierpiącej i zagrożonej Małgorzaty, to pamiętajmy, że Vauclin jest lekarzem, przyzwyczajonym patrzeć śmierci w oczy, a obowiązanym do ostatniej chwili nie tracić zimnej krwi i spokoju przy łożu chorego. Wejdźmy tylko należycie w tę postać, a kto wie, czy odnośnie do tej sceny czynione u nas panu Rapackiemu zarzuty, nie staną się właśnie jego chlubą, świadczącą o ogromnem panowaniu nad sobą, skoro ani ta chwila nie zdołała go wykoleić z drogi, po której od początku do końca szedł z nieugiętą konsekwencją. Właśnie podziwiać należy ten jego nieporównany spokój, nadający grze tyle charakterystycznej prawdy — choć z drugiej strony nie uczynilibyśmy nikomu zarzutu, ktoby pojąwszy tę postać sangwiniczniej, wlał w nią więcej uczucia powszechnoludzkiego.

Bardzo dobrze wywiązał się też nasz gość z niebardzo smacznej, filozoficznemi sentencjami *über den überstandenen Weltschmerz* do zbytku naszpikowanej roli Narcyza Rameau. Scena z pogodą, tudzież scena poznania niewiernej żony w Pompadour, dwie chwile stojące na dwóch przeciwległych biegunach: głębokiego wyrozumowanego spokoju — i wylewu wzburzonej namiętności, były odegrane tak świetnie, że wszystkich poruszyły do żywego; można sobie zatem wyobrazić, że i cała zresztą rola była należycie opracowana wedle danego założenia.

Cóż powiedzieć o Sołodusze w „Miodzie Kasztelańskim? To znowu typ nasz, swojski, skopiowany z życia, ale też do pewnego stopnia i zmanierowany. Już w samej charakteryzacji, w której przecież p. Rapacki bywa takim mistrzem — przesadził trochę nasz artysta, bo przedstawiając Sołoduchę tak szpetnym na ciele, tak obleśnym w obejściu, obraca jego pierwotne matrymonialne zamiary wobec Cześnikowej w nieprawdopodobną farsę. Nie ręczymy

czy autor komedji godziłby się na takie pojmowanie, które wprawdzie działa bardzo doraźnie na widza, ale obniża poziom i interes sztuki. Nie zupełnie też pochwalamy oddanie ostatniej sceny bo: *du ridicule au sublime il n'y a qu'un pas!* Cała rola aż do rzeczonej sceny, ślicznie stopniowana, wyłamała się w ostatniej chwili z właściwych karbów — i chybiła zamierzonego efektu.

Natomiast czapkę z głowy przed Radziwiłem! Był to taki Panie kochanku „do ostatniej nitki", taki portret wyjęty z ram zeszłowiecznych i ówczesnym owiany animuszem, że nie możemy sobie wyobrazić lepiej scharakteryzowanej, lepiej pojętej postaci. Takiego Radziwiła to tylko Rapacki przedstawić dziś potrafi. Już choćby tylko za stworzenie tej postaci słusznie mu się należy ów wieniec wawrzynowy, doręczony mu na ostatniem przedstawieniu przez tutejsze Koło literackie.

Z żalem żegnamy p. Rapackiego, a pragnęlibyśmy go znów jak najrychlej zobaczyć. Ensemble i inscenowanie tych kilku gościnnych występów szły wcale dobrze; zawdzięczyć to zaś należy zarówno sprężystej reżyserji, jakoteż bardzo starannej grze, zwłaszcza pani Nowakowskiej, tudzież pp. Zamojskiego, Zboińskiego i Lubicza — inni współdziałający trzymali się także dobrze— a przynajmniej czynili, co mogli.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Baranowski Mieczysław.* Słońce. Wykład popularny z 3-ma rycinami i kilku rysunkami. 8-ka, str. 59. Stanisławów 1881. 40 ct.

— *Bartoszewicz Julian.* Studja historyczne i literackie tom III (Dzieł wyd. zbiorowego tom IX czyli ostatni) 8ka, str. 400. Kraków 1881. 3 złr. 50 ct.

— *Czesław.* Poezje, zeszyt II. 8ka, str. 88. Kraków 1881. 80 ct.

— *Konopnicka Marja:* Poezje, str. 307. Warszawa 1881. 2 złr. 25 ct.

— *Lam Jan.* Wielki świat Capowic. Powieść współczesna. Wydanie trzecie. 8ka, str. 341. Kraków. 1881. 1 zł. 60 ct.

— *Lam Jan.* Koroniarz w Galicji czyli powagi powiatowe. Szkice współczesne wydanie trzecie. 8ka, str. 341. Kraków 1881. 1 złr. 60 ct.

— *Listy* o literaturze i sztuce, odbitka z „Kurjera Poznańskiego". 8ka, str. 147. Poznań 1880. 50 ct.

— *List otwarty* w sprawie ugody polsko-rosyjskiej. 8-ka, str.41. Kraków 1881. 50 ct.

— *Mickiewicz Adam.* Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie. Historja szlachecka z 1811—1812 r. z illustracjami E. M. Andriollego zeszyt I in folio str. 27 i 2 illustracje in folio. Lwów 1881. Całość w 12 zeszytach po 1 zł. 80 ct.

— *Mycielski Jerzy dr.* Kandydatura Hozjusza na biskupstwo warmińskie w roku 1548 1549: 8ka, str. 113. Kraków 1881. 1 złr.

— *Podzielona osada,* czyli skutki rządności i niedbalstwa, powiastka przez Lusławę. 8 ka, str. 65. Warszawa 1881. 45 ct.

— *Rehman Antoni dr.* Szkice z podróży po południowej Afryce, odbytej w latach 1875—1877. 8-ka, str. 368. Warszawa 181. 3 zł. 40 ct.

— *Reichman Bronisław.* Z dalekiego Wschodu. Wrażenia, obrazki, opisy z dobrowolnej podróży po Syberji. 8-ka, str. 287. Warszawa 1881. 2 zł. 25 ct.

— *Siemieński Lucjan.* Dzieła tom II zawiera Varior. — Roztrząsania i poglądy literackie. 8-ka, str. 315. Warszawa 1881. Cena dla pren. „Tygodnika illustrowanego. 1 zł. 50 ct.

— *Słońce* czyli nauka poparta przez spirytualizm. 8ka, str. 490. Kraków 1881. 4 złr.

— *Szujski Józef.* Odrodzenie i reformacja w Polsce. Pięć prelekcji publicznych mianych r. 1880 w Krakowie. Wydanie objaśnione przypiskami. 8ka, str. 197. Kraków 1881. 1 złr. 20 ct.

— *Węgleński Napoleon.* O przyszłości religijnej. 8ka, str. 68. Kraków 1881. 80 ct.

— *Wiadomości z nauk przyrodniczych.* Zeszyt I. 8-ka, str. 101. Warszawa 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Wilczyński Albert.* Dla dobra dzieci. Studjum z natury (powieść) 8-ka, str. 324. Warszawa 1881. 2 zł. 25 ct.

— *Z pieśni Litwina.* (Poezje) zawiera: Trzy siostry. Dęby. Rauda. Bór. W rocznicę śmierci Mickiewicza. 8ka, str. 16. Kraków 1881. 30 ct.

— *Źródła dziejowe,* tom VIII zawiera Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego, przedstawił Adolf Pawiński. 8-ka, str. 470. Warszawa 1881. 5 zł. 10 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Dnia 29. z. m. w sali kasyna miejskiego, odbyło się XXV z kolei posiedzenie „Koła literackiego." Bawiący we Lwowie znany podróżnik nasz, p. Napoleon Żaba, który jako gość uczestniczył w zebraniu, uproszony, opowiadał wiele zajmujących szczegółów z życia rodaków naszych rozrzuconych po najdalszych obszarach świata. P. Włodzimierz Zagórski uprzyjemnił zebranym chwile, odczytaniem kilku prześlicznych utworów swej bogatej poetyckiej Muzy, poczem swobodna pogadanka przeciągnęła się w noc późną.

Następne posiedzenie „Koła", odbędzie się w piątek d. 13. b. m. Na posiedzeniu tem, p. Władysław Kozłowski ma mówić o dziele: „Pessimism, a history and a criticism. By James Sully!!".

*** Pod redakcją p. Mojżesza Thumena (Landau) a nakładem p. Izydora Bernfelda, rozpoczęło wychodzić we Lwowie czasopismo „Ojczyzna", przeznaczone dla Izraelitów Polaków i dla tego zawierające artykuły, pisane w połowie po polsku a w połowie po hebrajsku. Czasopismo to, jak oświadcza Redakcja, „ma być wyrazem głosu, wzmagającego się coraz więcej wśród prawowiernych Izraelitów polskich, a żądającego organu, któryby popierał żmudną pracę jednostek przy wzniesieniu wspaniałego gmachu pojednania Żydów z narodem polskim, przemienienia Żydów polskich, w żydowskich Polaków".

Pierwszy numer „Ojczyzny" zredagowany jest ciepło i poczciwie; oby tylko ta praca ludzi dobrej woli, znalazła uznanie i poparcie.

*** P. Erazm Majewski, opracował i wydał w Warszawie rzecz z ostatniej doby dziejów kuli ziemskiej, p. t.: „Potop biblijny i perjodyczne potopy ziemi".

*** Na paryzkim medycznym fakultecie, złożyła świetnie egzamina doktorskie i otrzymała *pierwszy stopień fakultetu* połączony ze złotym medalem, Rosjanka Nadzieja Skwarcow. Wyszczególnienie takie, które na kilka lat zaledwie raz się zdarza, przyznane cudzoziemcowi i do tego kobiecie, jest rękojmią, że uwieńczona nagrodą, musiała w pełni na nią zasłużyć, a oraz dowodzi, jak niesprawiedliwem jest i szkodliwem dla społeczeństwa, że kobietom w ogóle zamkniętą jest możność kształcenia się w wyższych zakładach naukowych.

*** Pierwszy tom najnowszego zbioru poezyj Wiktora Hugo »*Quatre vents de l'Esprit*« już został wydrukowany, a drugi znajduje się pod prasą. Pierwszy tom zawiera dwie prace dramatyczne, komedję i dramat. Drugi tom kończy się wielkim poematem »*Les révolutions*«.

Społeczne i ekonomiczne.

*** „Muzeum imienia Dzieduszyckich" jest otwarte dla publiczności każdej środy i soboty od godz. 11. rano do godz. 6. popołudniu, każdej niedzieli i w święta od g. 10. rano do godz. 1. po południu.

Profesorowie z uczniami chcący korzystać ze zbiorów, tudzież osoby mające zamiar pracować w Muzeum lub przejeżdżający, zechcą się zgłosić do kustosza p. Władysława Zontaka, na dole, codziennie od godz. 10. do 12., z wyjątkiem poniedziałków, w które Muzeum z powodu czyszczenia i porządkowania dla każdego jest zaamknięte.

Na teraz są otwarte dla publiczności dział zoologiczny i botaniczny, to jest pierwsze piętro.

Dział mineralogiczny, paleontologiczny, etnograficzny i dział wykopalisk, to jest drugie piętro, z powodu ostatecznego urządzenia jest na teraz zamknięte.

Muzeum poleca się łaskawej opiece zwiedzających.

Uprasza się wchodząc do Muzeum cygarów nie palić i psów z sobą nie wprowadzać, laski i parasole na górze w przedpokoju złożyć, oraz obuwie najstaranniej wycierać, osobliwie podczas niepogody i kurzu.

Dzieci niżej lat 10 bez towarzystwa starszych nie będą wpuszczane.

Katalog — część pierwsza, Ptaki — jest do nabycia u dozorcy po 1 złr. za egzemplarz.

Lwów dnia 26. kwietnia 1881.

Zarząd Muzeum J. D.

*** Niezadługo już rozpocznie się sezon kąpielowy; wielu z naszych rodaków w interesie swego zdrowia podąży do wód rozmaitych, a w tej liczbie i cudzoziemskich.

Dziś zatem już zwracamy uwagę tych, co zmuszeni będą szukać pomocy u źródeł zagranicznych, aby upominali się u zarządów o trzymanie w czytelniach pism polskich, czego dotąd zarządy wód bardzo mało albo wcale nie uwzględniały, a nie uwzględniały dlatego, iż rodacy nasi o to należycie się nie upominali.

Polacy, składając się na równi z innymi na utrzymanie zdrojowisk, mają do tej dogodności zupełne prawo.

*** *Daily News* donosi z Filadelfji, iż znany amerykański fabrykant dyplomów doktorskich, Buchanan, przyznał się do zarzuconego mu przestępstwa i złożył listę sprzedanych dyplomów, jako też listę około 5000 osób, które z nim korespondowały: dodał także, iż najmniej 20.000 dyplomów w Ameryce, a 40.000 w różnych krajach Europy, sprzedanych zostało za jego pośrednictwem.

*** W Unterhallen, kantonu Szaffuzy, rada miejska zabroniła osobom nie mającym lat piętnastu... palić tytoń.

Organa porządku publicznego otrzymały surowe zalecenie dopilnowania tego przepisu na ulicach i w miejscach publicznych.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.